

Brygida Helbig

Steinfels – teren prywatny

Leciał wzdłuż łańcucha domów należących do sąsiadów o nazwiskach Wolf, Börstler, Bischoff, Müller, Volz i Helbig, i do sąsiadów o nazwiskach Miketa, Wowczak, Sandak, Mural i Hawerelko. (...) Mijał domy Mojżesza Felda, Józefa Korzonka, potomków Włocha de Grignisa. Gardło miał ściśnięte, klatkę piersiową dusił żelazny pierścień. Nie płakał, o niczym nie myślał. Ojciec chciał przed śmiercią zapalić. Poczuc w płucach dym. Popatrzeć na jego rozpraszające się po izbie smugi. (...) Jak to dobrze, że Willi leci. Widzę go przed sobą jak na zwolnionym filmie. Jego niewidzialne skrzydła.

Nie zdążyłam na grób mojego dziadka Johanna, przyjechałam na tę ziemię za późno. Ktoś wykupił zdziczałą parcelę i postawił tam, bardzo daleko pod lasem, jakiś mały, zabity dechami dom. Po co? Chciał mieszkać tam, gdzie nie mieszka nikt? Czyżby były tam jakieś skarby? Przed wejściem na parcelę drogę zagroził nam przed nosem szlaban. „Stop! Teren prywatny. Wstęp wzbroniony”. Tylko dotąd i ani kroku dalej. Miałam się tam wdrzeć siłą?

Co to za dom z piernika? Stałam i patrzyłam jak sroka w kość. Zmarszczyłam czoło, zacisnęłam usta. Wygląda na to, że za szlabanem w wysokiej trawie leżą prochy mojego dziadka Johanna, zmarłego w roku 1936 w wieku trzydziestu jeden lat na przeziębienie, zapalenie płuc, paraliż?

No tak, za szlabanem. Poczułam, jakby ktoś mi rzucił prosto w twarz „Halt!” albo „Zurückbleiben bitte!”. Niedowierzałam. Po dłuższej chwili jednak odeszłam jak niepyszna. Kreuz-Kruzifix! Gdybym przyjechała tutaj trzy lata temu! Ale nie przyjechałam, wiadomo.

W Internecie na bieszczady.pl czytałam wtedy tak: „Cmentarz ewangelicki w Steinfelsie powstał w XX wieku. (...) Oprócz mieszkańców kolonii chowano tu również pracowników przemysłu naftowego, którzy pracowali przy odwiertach na tym terenie. Spoczywa tu m.in. inżynier Herman Simon z Aschersleben w Saksonii – zmarł 24.12.1933. Cmentarzyk od samego początku był niewielki, zajmował 2-3 ary. Ostatni pochówek datowany jest na 24.11.1938. Do dnia dzisiejszego zachowały się jedynie 3 nagrobki w stanie szczątkowym”.

Trzeba było jechać od razu. Nie myśleć za dużo, działać. Ciągle, kurtka, te wątpliwości. A przecież czytałam wtedy wiele o pozostałościach dawnych kolonii niemieckich w Bieszczadach, pisałam o tym książkę, ale wyjazd wciąż wydawał się nierealny, przecież to za daleko, skrajny południowy wschód! Ja pochodzę z przeciwnego rogu mapy, a poza tym wcale się tak chętnie nie ruszam, do Niemiec też wyjechałam kiedyś tylko dlatego, że musiałam.



fot. Brygida Helbig

kradł jakieś jabłka z jakiejś jabłoni jakiejś Ukraince?” No i dobrze. Ta sprawa była dla mnie zakończona. Teraz byłam w zupełnie innym punkcie, pisałam inną powieść, o kimś zupełnie innym, wydawnictwo nagliło, czułam nóż na gardle. Nie miałam czasu na taką wyprawę. Wciąż jednak ktoś mnie namawiał i ponaglał, w końcu dostałam dziwną wiadomość na Facebooku od znajomego sprzed lat: „Miejsce pochodzenia to jest zawsze jakaś zagubiona Atlantyda. Ono znika i zostaje mit. Odkrywanie Atlantydy jest wchodzeniem w faustowską domenę. Tam gdzie duchy wzywają jest nagroda i kara. Oto cały Faust, hm... Faustyna von Steinfels. Hugs, Wojtek”.

Dowcipniś. Ale już wiedziałam, że muszę jechać, i to teraz.

No, ale ja przecież nigdy nie byłam w tych zakichanych Bieszczadach, chociaż okazuje się, że byli tam już przede mną prawie wszyscy, a to na obozach harcerskich, a to uciekając od zgiełku miasta, a to od alimentów lub politycznych prześladowań. Spakowałam samochód i zabrałam R. Siadłam za kierownicą, włączyłam mocnego rocka, dałam gazu. Nie wiadomo kiedy minęliśmy Wrocław i Kraków, polnische Autobahn – brawo! A gdy zagroziła nam drogę Dukla, wrzuciłam nasze zdjęcie z tablicą wjazdową na Facebooka. Naszym pierwszym celem była Cisna, gdzie pewien świetny znawca okolicy i autor

regionalnych książek kucharskich miał dać nam kilka wskazówek. „Jedźcie do Steinfels nie z Krościenka, tylko przez Bandrów”, powiedział. „Stamtąd posuwajcie się dalej połą drogą, licząc mostki nad potokami, cmentarz znajdziecie za trzecim mostkiem po lewej stronie.” Jeszcze jedno: „Być może po wojnie chowano tam Greków, osiedlonych w okolicy na początku lat pięćdziesiątych – komunistów zbiegłych z wojny domowej w Grecji. Być może na nagrobkach zmieniono kiedyś napisy na greckie!”. I jeszcze, trochę złowieszczo: „Ugryzła mnie tam kiedyś żmija!”.

Dobra. Niezwłocznie udaliśmy się w drogę – do przygranicznej wioski Huwniki, gdzie mieszkali rodzice Leny. Co za krajobrazy, czemu ojciec nigdy mi nie mówił, że pochodzi z gór? Po drodze minęliśmy Arłamów. Tutaj? Taki wielki hotel? W tej pustce? Dla kogo? Po co?

Rodzice Leny zaprowadzili nas do starego, samotnego domku letniskowego, a ja chciałam natychmiast zrobić w tył zwrot. Było ciemno, ponuro. Wyobraźnia zaczęła pracować przeciwko mnie. Ale odwrotu nie było. Ojciec Leny przekonywał, jak mógł: „Niech się pani tu niczego nie boi, ja się tu urodziłem i nigdy mi się nic złego nie zdarzyło. Ja tutaj nigdy w życiu się nie bałem. Gwarantuję w stu procentach, że tutaj nic się nie stanie!” Hm, w stu procentach... A potem jeszcze: „Jeśli tu ktokolwiek może przyjść, to tylko Putin”.

Do granicy ukraińskiej jest stąd kilka kilometrów. Polacy jeżdżą tam codziennie na handel, przywożą ukraińskie piwo, którym znieczulają mieszkańców domu starców po polskiej stronie. A Ukraińcy przyjeżdżają do Krościenka, sprzedają pod Biedronką swój alkohol i cukierki. „Ale poza tym u nas tutaj spokój. Krążą czasem przy granicy helikoptery, ostatnio było słychać jakieś strzały, ale tu nigdy jeszcze nic się nie stało!”.

Zostawili nam wielki talerz ukraińskich słodyczy na odchodnym. Mama Leny widząc moją nietęgą minę, za parę minut wróciła i doniosła jeszcze słodkie wino. „Może pani zostawić sobie światło włączone!”, dorzuciła. I zostaliśmy sami.

„A jeśli przyjdą tu i zapukają jacyś zbiegowie z tamtej strony?” – spanikował R., który jeszcze nigdy w życiu nie zapuścił się tak daleko na wschód. Długo siedzieliśmy na progu domku i sączyliśmy wino. Chciałam uciekać, ale nie było jak. „Nie wyrzucaj tylko żadnych śmieci do tego śmietnika przed domem”, ostrzegł mnie. „Mogłyby zwabić niedźwiedzia, a wiesz, że ostatnio jakiś tu podobno zwiedza okolicę, sam pan Antoni mówi!”.

Ciągnęłam łyk za łykiem, wcinałam słodycz za słodyczem. Zamek w drzwiach ledwo się trzymał, no cóż. Przyznam się – łyż zaczęły spływać mi po policzkach. Wtedy na progu domku zjawił się ni stąd, ni zowąd mały, przybrudzony kundel. Dawno nie patrzyłam na nikogo z taką sympatią. Podsunęłam mu miskę wody i kawałek ukraińskiej kielbasy. Powąchał z wdzięcznością, lecz nie był zainteresowany. Położył się ufnie na progu. Zasnął. Zamierzał tu pozostać.

Na powitanie – grzmoty. Nocą, oszołomionych winem i cukrem, obudziła nas burza, o jakiej świat nie słyszał. Zatrzęsła wrotami, jakby ktoś nimi szarpał, dobijał się i wołał: „Otwierać! Ręce do gór!”. Zbiegłam na dół w popłochu. Albo to Ukraińcy, albo niedźwiedź przyszedł w gościnę, jakaś wielka muskularna ciemna postać tam jest, na pewno. Po co tu przyjechałaś? Myślałaś, że to jest zabawa? Pogasiliśmy światła. Skuliliśmy się